

Jesień puszyła się sennie i dostojnie. Pola oblekła szarością rozkopanych gruntów, a opary porannej mgły rozlała aż nad rzekę. Drętą ciszę przerywał wiatr, skrzeki ptaków i pokrzykiwania chłopów pracujących w polu.

Kopano kartofle.

Baby podkasawszy spódnice, przekopywały motykami brunatne zagony. Mężczyźni dźwigali kosze, a dzieci razem z pastuchami paliły ogniska i piekły kartofle na czarny, spalony kolor.

Wiał wiatr i rozwiewał suchy piasek, sypiąc w oczy ludziom. Ziemię zaczynała przyoblekać jakaś martwota, ale śmiech, poszczekiwanie psów i szum wciąż pełnych liści drzew, tłumiły poczucie nadchodzącej śmierci.

Mała Jagna bawiła się z resztą dzieci. Biegała boso, rzucała grudkami ziemi w krążące nisko ptactwo i szukała największego kartofla. Takiego, który byłby znacznie większy, niż te wykopane przez starszych chłopów. Pies sąsiadów, kudłaty Burek łapał ją za kubraczek i ciągnął z całych sił, targając granatową kapotką na wszystkie strony. Śmiejąc się, odganiała go biegając po polu, aż spotkało ją to, co spotyka większość małych, nieuważnych dziewczynek. Potknęła się i upadła.

Niebieskie jak małe jeziorka oczy wypełniły łzy. Podniosła się jednak dzielnie, smarknęła i zbliżyła do grudy, o którą zahaczyła. Spod zwałów ziemi i trawy wydobyła wielkiego ziemniaka o zielonkawej barwie. Był ciężki i uwalany mokrą gliną. Ale niewątpliwie największy, jakiego widziała. Jej ciemną twarzyczkę rozjaśnił szeroki, szczerbaty uśmiech. Pomyślała, że wszyscy będą jej zazdrościć takiego znaleziska. Zwłaszcza przedrzeźniający młodsze dzieci chłopcy. Jagna chwyciła ziemniaka małymi rękami i podreptała za swoim znaleziskiem w stronę pracujących chłopów.

Już miała zawołać tych paskudnych chłopaków i pokazać im swój skarb, gdy nagle zjawiała się mgła. Nie podpełzła niepostrzeżenie, jak to się zazwyczaj działo. Ta mgła była inna. Kłębiastymi, obfitymi pasami wirowała dookoła, pochłaniając ziemię i niebo. Mała patrzyła, jak zajęci pracą dorośli znikają w kłębach dymu. Burek skakał wysoko, próbując ugryźć gęstniejące opary. Kiedy mama, bracia i cała wiejska dzieciarnia rozplynęła się za ścianą mgły, dziewczynka przestraszyła się. Nerwowo dreptała próbując dotrzeć do swojej rodzicielki. Już, już miała wybuchnąć płaczem, gdy zobaczyła wyłaniającą się z siwych mgieł sylwetkę Macieja.

Maciej był chłopcem ze dworu. Nikt we wsi nie nazywał go inaczej, jak właśnie: „chłopiec ze dworu”. Jagna lubiła Macieja choćby dlatego, że nigdy jej nie dokuczał i niewiele się nią interesował. Patrzyła szeroko otwartymi oczami, jak chłopiec wynurza się z tej dziwnej mgły. Widziała, że Maciej wcale się nie boi i to ją uspokoiło. Przystanął na chwilę i przechylił zabawnie głowę, jakby ją obserwował. Z otwartą buzią, chabrowymi ślepkami patrzyła w jego siwe oczy ukryte pod płową, nierówną grzywką. Mierzyli się chwilę wzrokiem. Po czym chłopiec podszedł do niej tak blisko, że musiała zadrzeć głowę, kiedy do niej mówił.

- Co tu masz? - zapytał, nie uśmiechając się.

- Wielkiego kartofla! - pokraśniała z dumy.

- Pokaż - zażądał.

Jagna popatrzyła na niego nieufnie, ale podała mu swój skarb. Chciała już wrócić do matki.

Maciej delikatnie wziął kartofla w swoje cienkie palce i chwilę mu się przyglądał.

- Dobrze, wracaj do macierzy - rzucił w jej stronę.

- A mój kartofel? - zapytała.

- Ja go wezme. To nie dla takiego smarka.

Jagna zmarszczyła brwi i zacisnęła rączki w pięstki. Chciała już do swoich, ale słowa Macieja bardzo przypominały przedrzeźnianie wioskowych chłopaków, co ją rozżaliło i rozgniewało.

- Ale jażem go zdybała!

Chłopiec popatrzył na nią krótko. Przykucnął.

- To nie jestże kartofel, małe czędo. To jajo czarta!

Jagna nie rozumiała, co jej mówi ten dziwny chłopak. Ale było w jego zachowaniu coś, co sprawiło, że znów zaczęła się bać.

- Wracaj! - powtórzył zniecierpliwiony.

Dziewczynka rozplakała się głośno, bo jak miała wrócić, skoro mgła tak wszystko przesłoniła, że nic dojrzeć nie szło. Zacisnęła powieki z bezradności.

- I czego ryczysz, smarkulo? - usłyszała nagle głos któregoś z wyrostków.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że po mglistych oparach nie zostało ani śladu. Znów widziała przed sobą rozorane pole i ludzi przy pracy. Nie namyślając się długo pobiegła z krzykiem do matki. Zapłakana, opowiedziała jej całą przygodę. Matka wycierała brudnym fartuchem jej usmarkaną buzię i słuchała kręcąc głową. Później nakrzyczała, że mała bajki zmyśla, wycalowała ją, wepchała pieczonego ziemniaka w rączki i zaprowadziła do ogniska, przykazując starszym dzieciom zająć się smarkulą.

W czasie, gdy Jagna grzała się przy przyjemnie pachnącym ognisku i jadła, szybko zapominając o niedawnych wydarzeniach, Maciej zjawił się na wzgórzu, na umówione spotkanie.

Jehu już czekał.

Jego siwek pał się nieopodal, a on sam z rękami założonymi na plecy wpatrywał się w szaro-granatową taflę rzeki, rozlewającej się szeroko na dole. Chmury toczyły swoje cielska po ciemniejącym niebie. Gdzieniegdzie na czarne, wilgotne pola padał snop światła. Związane tasiemką prawie białe włosy Jehu wyrwały się na wolność, a poły czerwonego, wyszywanego złotem surduta trzepotały na wiecznym wietrze.

Chłopiec stanął obok i trwali tak przez chwilę, w milczeniu przyglądając się krążącym nisko ptakom.

- Znalazłeś? - spytał wreszcie Jehu.

Maciej wyciągnął z worka przedmiot przypominający ubłoconego ziemniaka. Jehu wziął go w dłonie. Wyciągnął koronkową chusteczkę i zaczął polerować powierzchnię znaleziska, usuwając zaskorupiałą glinę i mech. Po chwili, można było dostrzec, co kryje się wewnątrz skorupy.

- Dzięki niech będą Bogu, zdążyliśmy! - odetchnął Jehu.

- Jest ich coraz więcej - powiedział chłopiec, patrząc ponuro na życie, które egzystowało w oczyszczonym jajku.

W jego głosie był niepokój.

Jehu skinął głową. Koń zarżał głośno.

- Jestem tego świadom. To już nie jest zabawa. To otwarta wojna. Po co oni się wydostają? Czego szukają na tym świecie? I jak przekraczają bariery?

- Nie wiem.

Milczeli przez chwilę. Chłopiec obserwował chmury. Zapowiadało się na deszcz. Spojrzał na jajko. Jehu zawinął je w kawałek płótna i schował w dużej sakwie.

- Nie ma ich więcej? - spytał - Co z matką? Może gdzieś tu jest?

- Matki już nie ma. Znalazłem jej ściervo na bagniskach. Miała połamane rogi i pozdzierane kopyta. Była jedną wielką raną, którą pożywiało się robactwo. Zakopałem ją. Co do jaj, to nie mam pewności. Trudno je wyczuć, bo zazwyczaj są zakopane w ziemi. Ale będę szukał.

W miarę słuchania blade oczy Jehu zamieniły się w małe szparki.

- Diablica zdechła? Ktoś musiał jej w tym pomóc. Zabijają siebie nawzajem. To coś nowego.

- Coraz mniej z tego rozumiem.

- Ja też, przyjacielu. Ja też. To bardzo źle.

Maciej kiwnął głową. W ich świecie niedobrze jest czegoś nie wiedzieć. Za niewiedzę można drogę zapłacić. Chłopiec poruszył się, jakby chciał już odejść.

- Za chwilę spadnie deszcz. Muszę wracać do dworu, trzeba spędzić krowy z pól i obrobić obejście.

Jehu wyciągnął fajkę i pyknął aromatycznym ziołem.

- Widzę, że spodobało ci się twoje obecne życie.

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Macierz kazali, ja róbta, co trza. A jak chubode i ludziska nocka zmorzy, ostaje moc czasu, by dowiadywać sie o dziwach chodzonych po ziemi nasej - powiedział po wiejsku i zmrużywszy oczy, dodał - Tak, pozostaje bardzo dużo czasu. Które ja mogę wykorzystać. To dobry układ.

- Mimo wszystko, jestem zaskoczony. Mógłbyś być paniczem we dworze, a nawet panem. Skąd ta postać wiejskiego, przygłupiego dziecka?

Maciej zniecierpliwiał się. Przez chwilę jego postać stała się niewyraźna, rozmazana. Rosła szybko i drgała. Przez moment można było dostrzec to, kim Maciej był naprawdę.

Jehu nieznacznie się cofnął.

- Dziecko nikogo nie interesuje w rodzinie chłopów. To dobre przebranie.

- Pewnie masz rację. - Jehu podniósł ręce w geście poddania. - Ty wiesz najlepiej, jak tutaj funkcjonować.

Maciej znów był drobnym, nastoletnim chłopcem, o jasnych, obojętnych oczach.

Jehu przyprowadził konia. Głaskając go długimi palcami o sinych paznokciach, zapytał jeszcze:

- A co we dworze?

- Historia szlachcianki Zofii jest ci z pewnością znana. Stary Lenicki po spotkaniu z tobą, zaczął szaleć, co o mało nie skończyło się katastrofą. Teraz jest spokojniej. Znacznie spokojniej. Jednak tylko Bóg wie, na jak długo.

- Tak - Jehu spojrzał na Macieja. - Wiem, że to był błąd. Ale jednak...Lenicki był moim przyjacielem, druhem w walce. A jak wiesz, był wtajemniczony, miał pojęcie o tym, co się działo. Byłby dużą pomocą...

- ...gdyby nie zgubna namiętność, prawda? Tacy są właśnie ludzie. Trzeźwi i rozsądni, dopóki nie ogarnie ich ten szal, ta gorętność. A wtedy żadne deklaracje, obowiązki i obietnice nie mają już znaczenia.

Jehu westchnął.

- Jego wnuczka...

Maciej machnął ręką.

- Która?

- Starsza, o ile pamiętam. Poznałem to podczas mojej ostatniej wizyty.

- Nawet jeśli ma to samo, co on, to co z tego? Nie rozbudzajmy nic niepotrzebnie i nie dodawajmy sobie kłopotów. Po jakie лихо? Jeśli realnie będzie mogła pomóc, wtedy się zastanowimy.

Jehu wskoczył na konia i zniknął w lesie, zabierając ze sobą czarcie jajo.

Maciej ruszył szybko ku dworowi. Wieczorna trawa przyjemnie chłodziła mu gołe stopy. Minął żelazne ogrodzenie i skierował się ku stajniom. Czekano na niego. Dostał burę, że się włóczy po polach zamiast pilnować pory spędzania bydła.

Wieczorna zorza lekko zaróżowiła już horyzont, kiedy przyszedł po zwierzęta. Znał każde z nich. A one ufnie patrzyły na niego. Poklepał ciepłe cielsko Jagody, pierwiastki, która dopiero co się ociełiła i była dość niespokojna z powodu bólu spuchniętych wymion.

- Jak się masz, piękna? - zaszeptał, gładząc ją po pysku i łagodnie patrząc w wilgotne, pełne cierpienia zwierzęce ślepia.

- Spokojnie...spokojnie... - przemawiał do niej. - Wysmaruję ci wymię olejem i nie będzie boleć. Nie będziesz się męczyć.

Kiedy zgonił bydło i porobił, co trzeba, długo masował Jagodę. Krowa porykiwała boleściwie. Kiedy jej wymię zrobiło się miękkie i gorące, a ręka Macieja zdrętwiała tak, że nie mógł jej zacisnąć bez bólu, wymknął się z gospodarstwa.

Teraz nikt mu nie będzie przeszkadzał. Wszedł w las. Droga była długa, ciemność zapadała i wiła się między leśnymi prześwitami, jak złowroźny cień. Gęsty mrok nie był dla niego aż takim utrudnieniem. W nocy widział znacznie lepiej niż ludzie. Zanim dotarł na miejsce poczuł jego zapach. Krew, smród odchodów i wyziewów chorego ciała.

Kiedy otworzył wrota szopy powitał go ryk zmieszany ze zwierzęcym wyciem. Leżąca na podłodze postać głucho rzucała się i kopała w deski podłogi i ścian. Każde takie uderzenie potęgowało żalostny skowyt bólu. Odór w pomieszczeniu zwał z nóg.

Maciej zapalił świecę i usiadł przy rozpadającym się stole. Siedząc nieruchomo patrzył na uwięzione przez siebie stworzenie.

Diablica krwawiła. Mocno. Związana drutem, który wrzynał się w jej pokraczne cielsko, toczyła ciemną krew, zmieszaną z ropą i śluzem. Jej rany obsiadły muchy i białe robactwo. Miała połamane kopyta, komicznie sterczące pod nienaturalnym kątem. Deski szopy rozorała potężnymi rogami. Jej czerwone oczy były szeroko rozwarte z dzikiego bólu, wściekłości i przerażenia. Widok Macieja sprawiał, że sycząc wysuwała spłaszczony język i rozwierała oślinioną paszczę pełną krzywych kłów. Pokryte guzami kolana trzęsły się jej w jakimś szalonym, przerażającym tańcu, tak samo, jak szpony, które na przemian rozwierała i zaciskała.

Maciej powoli, nie spiesząc się, wyciągnął długi, zagięty nóż. Ostrze załśniło w świetle świecy. Przyłożył je do płomienia. Patrzył chwilę na łagodne światło, po czym przesunął wzrok na wybałuszone z cierpienia oczy diabła.

- Czekaj nas długa noc, czarcia suko - powiedział spokojnie, na co diablica zawyla rozpaczliwie - Tak...długa noc, bo widzisz, mam tyle pytań...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.